

PO PREMIERZE „GORĄCZKI” w Teatrze Muzycznym

Naprawdę gorąco!

Godzinny spektakl przygotowany w grudniu na potrzeby telewizyjnej „Dwójki” Wojciech Kościelniak w ciągu miesiąca zmienił w pełnowymiarowe widowisko Teatru Muzycznego. I jak się podczas czwartkowej premiery okazało – z korzyścią dla samego przedstawienia

GRZEGORZ CHOLEWA

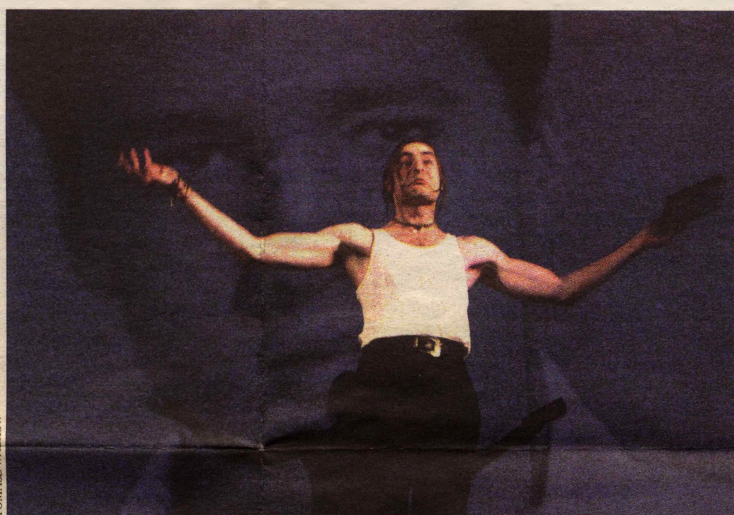
Gorączka” z piosenkami Elvisa Presleya zdecydowanie zmieniła w tej wersji również swój kontekst. Odniesienia kolejnych utworów do biografii Presleya Kościelniak zamienił na ikony naszej współczesności, tematem nie jest już sama jego postać, ale przede wszystkim zjawisko popkultury. A więc tym razem reżyser zepchnął „króla” na jeszcze dalszy plan, z jego twórczości uczynił już właściwie tylko pretekst do powstania całego przedsięwzięcia.

Elvis by nie poznał

A muzyka? Nowe, rewelacyjne aranżacje Piotra Dziubka mają niewiele wspólnego z oryginałami. A teksty? Polskie, wręcz upoetyzowane tłumaczenia Romana Kołakowskiego często mijają się z wizją Presleya. Ale to właśnie stanowi o sile i temperaturze „Gorączki”, której już od początku bardzo daleko było do wspominkowej, bujanej i śpiewanej akademii „ku pamięci”. Gdyby żył i siedział nawet w pierwszym rzędzie, Elvis nie poznałby pewnie połowy swoich piosenek. Nie sądzę, by nawet wiedział, że z jego powodu to zamieszanie.

Ala o co chodzi?

Utwory przeplatane są krótkimi, błyskotliwymi monologami, które po pierwsze spajają całe widowisko, po wtóre – nadają mu dramaturgię, a nawet zarys szczątkowej fabuły. Tym sposobem reżyser próbował zasyfrować dodatkowe znaczenia, skoro zapowiadał rozliczenie się w spektaklu z popkulturą. Na całe szczęście zamiast frazesów w stylu „Britney Spears to plastikowa Barbie śpiewająca z playbacku” albo „Michał Wiśniewski jest pretensjonalny” mamy tutaj niezobowiązującą zonglerkę



Cezary Studniak jako recydywista w piosence „Więzienny rock”

symbolami i kulturowymi afrodyzjakami współczesności. Zresztą gospelową modlitwą do nich rozpoczyna się cały spektakl, który później kolejno odsłania nam świat pełny medialnych kłownów kreujących własną rzeczywistość, świat szybkiego seksu, komórek i gier komputerowych, a także wyrobniczego materializmu, ometkowanej rzeczywistości, dewaluacji uczuć i stepionej wrażliwości. Ów chwalny przekaz jest jednak o tyle mało czytelny, że właściwie osadzenie w tym kontekście akurat Elvisa Presleya staje się zabiegiem nieco zbyt na siłę. Owszem, Presley należy niewątpliwie do panteonu najjaśniejszych ikon popkultury, ale raczej jej ociekających złotem i błyszczących blichtrzem Las Vegas pierwowzorów. Generalnie spektakl tylko sprawnie sygnalizuje pewne problemy, ale na antidotum nie mamy już co lać.

Taaaka klasa!

Ala „Gorączka” – nawet w swej nowej postaci – to wciąż bardziej show muzyczne niż pełnowartościowy moralitet. Również jako widowisko Teatru Muzycznego broni się na bardzo wysokim poziomie, a zapracowali na to wszyscy: tancerze, muzycy, a przede wszystkim aktorzy, którym w tej poszerzonej formie Kościelniak pozwolił na własne kreacje.

Bezkonkurencyjny i wręcz re-we-la-cyjny był Mariusz Kilian zarówno w mono-

logu zniewieściałego dyktatora mody, jak i utworze „Diabeł w ciebie wcielił się”. Pownownie błyszczały Karolina Trębacz i przede wszystkim Bogna Woźniak, urzekająco pięknie śpiewająca standard „Jesteś w każdym moim śnie”. Świetnie spisał się Cezary Studniak, tym razem jako recydywista w utworze „Więzienny rock”, a także w przełamującym konwencję spektaklu songu „W wielkim mieście”, czyli słynnym Presleyowskim „Getticie”. Bardzo dobrze wypadli Konrad Imiela (zwłaszcza podczas aukcji mikrofonu „króla”), Sambor Dudziński (ten temperament!) i Janusz Radek (ten głos!). Słowa uznania także dla debiutującej na deskach Teatru Muzycznego młodziutkiej i obiecującej wrocławianki Joanny Kucharskiej, która bez kompleksów dotrzymywała kroku weteranom i dobrze odnalazła się w emocjach piosenki „Jedno wiem, że pokochałam cię”.

Druga odsłona „Gorączki” zyskała w czwartek w Teatrze Muzycznym nowy kontekst, a jej temperatura zbliżyła się do stanu tytułowej gorączki jeszcze bardziej niż przed miesiącem wśród telewizyjnych kamer w Teatrze Polskim. Potwierdziła wysoką formę Wojciecha Kościelniaka, który zaledwie w ciągu roku przygotował we Wrocławiu trzy znakomite premierowe spektakle. Wygląda na to, że w końcu będziemy mieli nad Odrą przynajmniej czterogwiazdkowy Teatr Muzyczny. Ciepło, ciepło... gorąco!